

Dzieci

Fotografie

Wiesław Mariusz Zieliński

Moim wnukom – Szymkowi i Mai

W PRL-u

Tekst wstępu
Filip Łobodziński

Fotografie oraz podpisy
Wiesław Mariusz Zieliński

Projekt graficzny
Władysław Pluta

Skład i łamanie
Inter Line SC, Kraków

Redakcja
Anna Chudzik

Korekta
Sabina Florczak, Beata Kowalczyk

Przygotowanie ilustracji do druku
Studio Kolor, Rudna Mała

Druk
Drukarnia Skleniarz, Kraków
Printed in Poland

© Copyright by Wydawnictwo BOSZ
© Copyright for photographs by Wiesław Zieliński
© Copyright for text by Filip Łobodziński

Olszanica 2017
Wydanie I
ISBN 978-83-7576-330-0

BOSZ Szymanik i wspólnicy sp. jawna
38-722 Olszanica 311
Biuro: ul. Przemysłowa 14, 38-600 Lesko
tel. +48 13 469 90 00, +48 13 469 90 10
faks +48 13 469 61 88
biuro@bosz.com.pl
www.bosz.com.pl

BOSZ

Spis treści

Filip Łobodziński
Mogą zazdrościć nam wyobraźni
7

Wiesław Mariusz Zieliński
Dzieci w PRL-u
17

Wiesław Mariusz Zieliński
biogram
141

Filip Łobodziński
biogram
143



Mogą zazdrościć nam wyobraźni

Filip Łobodziński

Boiska były dwa. Jedno nazywaliśmy boiskiem Sosny, drugie – Guzikiem. Kwestia wyboru, na którym mamy stoczyć mecz, zależna była od różnych okoliczności – do którego mieliśmy w tym momencie bliżej, czy chciało nam się wytyczać bramkę, czy wystarczyły klipy (teczki szkolne). Aha, a przede wszystkim – które z nich było akurat wolne.

Obydwa boiska znajdowały się względnie blisko siebie, na tyłach osiedla Batory-Zachód na warszawskim Mokotowie, na terenie Pola Mokotowskiego. Tego nieistniejącego dziś Pola Mokotowskiego, dzikiego, porośniętego samowolką roślinną i porytego okopami z czasów wojny, w których teraz (przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych) czasami ćwiczyli studenci pobliskich dwóch uczelni (SGGW i SGPiS) podczas zajęć studium wojskowego.

Dziś okopy te wypełnia sztuczna struga, wijąca się przez park im. Józefa Piłsudskiego na dawnym Polu Mokotowskim. Dawnym? Wcale nie. Nikt nie mówi, że idzie „do parku Piłsudskiego”, tylko „na Pole Mokotowskie”.

Ale miało być o boiskach.

Boisko Sosny – nazwane tak, ponieważ jego piłkarską przydatność odkrył Sosna, zwany też Kominem (dziś wybitny poeta Andrzej Sosnowski) – miało niewątpliwą zaletę w postaci bramek: z jednej strony formowały ją dwa drzewa, z drugiej jedno, trzeba było więc tylko dosztukować drugi słupek klipą albo butelkami po oranżadzie i można było zaczynać grę. Jeżeli było nas więcej niż pięciu, graliśmy normalnie na dwie bramki. Jeśli nie – grało się na jedną bramkę; grę rozpoczynało tzw. „ruskie centro”, czyli wykop piłki w górę i kto pierwszy jej dopadnie, ten zaczyna; obowiązywała zasada „trzy korki – karny”, czyli jeżeli drużyna broniąca trzykrotnie z rzędu wybiła piłkę poza linię autu bramkowego, drużyna



atakująca miała rzut karny. Bramkarz, dotąd obsługujący obydwie drużyny, schodził, a na budzie stawał ktoś z broniącej.

Wadą zaś boiska Sosny było fatalne wypoziomowanie terenu, czyli murawa przechylona w jedną stronę.

Guzik natomiast miał tylko jedno drzewo bramkotwórcze i spory, okrągły dół głębokości 20 centymetrów na jednej z połów – stąd nazwa. Za to był w miarę poziomy na całej powierzchni. I był bliżej środka osiedla, gdzie zapadała większość decyzji, co robić z czasem. Ale w słowach „idziemy na Guzik” zawsze słychać było pewnego rodzaju kompromis, kapitulację, rezygnację. Lepiej się grało na boisku Sosny.

Szkoła Podstawowa numer 70, do której chodziliśmy, miała budynek przy naszej ulicy, a jako szkoła-tysiąclatka miała też oczywiście boisko, nawet dwa. Obydwa były asfaltowe, jedno z bramkami z prawdziwego zdarzenia i siatką, chroniącą szyby w budynku, drugie bardziej przydatne do gry w kosza. I zdarzało nam się czasem iść na szkolne – ale gra na ziemnym gruncie była znacznie fajniejsza. No i na Polu można było bez problemu dawać słowny upust emocjom, nie patrząc, czy ktoś z ciała pedagogicznego jeszcze ma na nas baczenie. Na Polu byliśmy wolni.

Pole w ogóle było rewelacyjnym placem zabaw. Obfitowało w zagajniki, dziwne wykroty, chaszczki. Były tam miejsca, gdzie rdzewiały resztki sprzętu transportowego. Podwozie przyczepy, ze sterującym ukośnie w niebo rurowatym sztyftem, stawało się armatą. Resztki karoserii były znakomitymi kryjówkami. Skamieniała przez zasiedzenie i porośnięta chwastami hałda ziemi budowlanej przy świeżo wybudowanym stadionie Skry stawała się fortecą, wstępu do której broniły ustalane i zmieniane codziennie tajne hasła. Oczywiście pod koniec dnia, kiedy trzeba było iść na kolację



do domu, twierdza pustoszała, a hasła traciły ważność. Wymienialiśmy je między sobą, bo nikt postronny nawet nie wiedział, że miałyby ich użyć. Nikt taki nie miał wręcz ochoty włączyć na tę kupę piachu i gruzu. Hasła były tylko dla nas, stanowiąc rodzaj kodu wtajemniczenia. Ustalaliśmy je z kolei w innej grupie chłopackiej, której przewodził kolega z klasy, Czarek. Dziś znany jako (nieżyjący już, niestety) profesor filozofii Cezary Wodziński.

Z tą Skrą też było fajnie, bo na bieżni położono pierwszy w stolicy tartan. A bieganie po tartanie równało się niemal lotowi odrzutowcem. Na co dzień, ścigając się po żwirowej bieżni albo po prostu po Polu, czasem mieliśmy ochotę poczuć tę bajeczną sprężystość i pomarzyć, że tu moglibyśmy bić wielkie rekordy. Wiedza o strategicznych dziurach w parkanach gwarantowała nam okazjonalne korzystanie z tego biegaczego luksusu.

Dziury były też ważnym elementem aktywności po przeciwnej stronie ulicy, od strony terenów SGGW. Kiedy je skutecznie załatano, pozostawało przechodzenie przez parkan – niełatwy, bo zrobiony z siatki o bardzo małych otworach – czubki butów się nie mieściły, trzeba było się podciągać, a nie każdy to potrafił. Ja się nauczyłem dopiero po roku. A po co tam przełazić? Powody były dwa: 1. rosły tam rajskie jabłuszka; 2. odgradzał nas parkan, co samo w sobie stanowiło wystarczający powód, żeby tę barierę przekraczać. Ten drugi powód był ważniejszy – i całoroczny. Skoro ktoś chce się odgradzić, za punkt honoru stawialiśmy sobie, żeby zniweczyć jego plany. Tym bardziej, że po drugiej stronie grasował „dziad”, czyli stróż. Cała zabawa polegała na tym, żeby nawiać dziadowi. Najlepiej z kieszeniami pełnymi rajskich jabłuszek.

Kiedy dziś zaglądam na Pole Mokotowskie, z trudem odnajduję pejzaż dzieciństwa. Pole wciąż jest tam, gdzie wtedy, ale zostało



Dzieci w PRL-u

Fotografie

Wiesław Mariusz
Zieliński



Klinika porodowa. Warszawa, ulica Karowa, 1967



Klinika porodowa. Warszawa, ulica Karowa, 1967



Tarczyn koło Warszawy, 1968



Pułtusk, 1979



Złotne spojrzanie. Warszawa, 1966



Słodkie spojrzanie. Pułtusk, 1978



Ufne spojrzenie. Piaseczno, okolice Warszawy, 1960



Płock, lata 60.



Jola. Wicé Majdan, Mazowsze, 1960



Płock, 1963



Płock, 1961

Okolice Płocka, 1970



Okolice Płońska, Mazowsze, 1962



Pułtusk, 1979



Okolice Warszawy, 1961





Pułtusk, 1978



Okolice Węgrowa, 1963



Okolice Zielonej Góry, 1961



Ciekawość. Płock, 1962



Sekret. Warszawa, 1964



Warszawa, 1968





Basen na Moczydle. Warszawa, 1969



Niska woda. Warszawa, 1966





Łowicz, 1963



Wieś Majdan, Mazowsze, 1962



Łowicz, 1964



Okolice Kielc, 1963



Wiesław Mariusz Zieliński

Wiesław Mariusz Zieliński (ur. w 1935 roku w Warszawie). Fotografik, od 1966 roku członek Związku Polskich Artystów Fotografików. Uczestnik ponad 200 wystaw zbiorowych i 24 indywidualnych. Jego twórczość jest zróżnicowana tematycznie i formalnie – od zdjęć dzieci, mody i aktów, przez eksperymenty z fotomontażem i starymi technikami, fotografie obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau i polskich zabytków. Obecnie interesuje go polskie prawosławie i Warszawa. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi i medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej.



Filip Łobodziński

Filip Łobodziński (ur. w 1959 roku w Warszawie). Z wykształcenia iberysta. Przez lata zajmował się dziennikarstwem prasowym, telewizyjnym i radiowym. Tłumacz literatury z hiszpańskiego, angielskiego, francuskiego i katalońskiego. Członek dwóch zespołów muzycznych – Zespołu Reprezentacyjnego i dylan.pl. Od 2013 roku współprowadzi program telewizyjny „Xięgarnia”, promujący książki i czytelnictwo. Wolontariusz na rzecz bezdomnych zwierząt.